

Drogą powrotną spędziliśmy dodatkowy dzień w Seulu i w Budapeszcie. Poniżej notatki jak minął nam ten czas.

Po rannym lądowaniu w Seulu zostawiliśmy bagaże w hotelu i wyruszyliśmy na miasto, kierując się tam, gdzie byliśmy już dwa tygodnie temu, pod pałac Gyeongbokgung. Dojechaliśmy akurat na czas aby zobaczyć przygotowania do zmiany warty, ale że widzieliśmy już to wcześniej, skierowaliśmy się tym razem do muzeum pałacowego, gromadzącego nieliczne zachowane artefakty z czasów dynastii Jongsu (głównie zapamiętaliśmy pieczęcie królewskie z rękojeściami w kształcie żółwi, a także - cesarskie już - samochody z początków XX wieku używane przez ostatniego władcę Korei). Nowoczesne muzeum mieści się w specjalnie zbudowanym pawilonie (przy wyjściu ze stacji metra) i uzupełnia skromne ekspozycje projekcjami wideo.

Następnie pocztapaliśmy w kierunku Jogye-sa, najważniejszej buddyjskiej świątyni w Korei. Sporych rozmiarów drewniany budynek został zbudowany (jak to ujmują Koreańczycy) już w epoce japońskiej okupacji kolonialnej (rok 1938) - w czasach dynastii Jongsu religią panującą był (neo)konfucjanizm i momentami buddyści byli wręcz prześladowani. W środku zestaw obowiązkowy: na ścianach malowidła ilustrujące życie Buddy, a centralne miejsce zajmują trzy posągi (środkowy to "prawdziwy" Budda, prawy to "lecniczy" Budda, a lewy to "Budda w zachodnim raju" - cokolwiek by to miało znaczyć). Zaczynamy zauważać różnice w poszczególnych 'narodowych nurtach' buddyzmu - inne pozy, inny sposób przedstawiania: laotański Budda był androgyniczny i przypominał młodą kobietę; tutejszy jest bardziej chińskim korpulentnym wesołkiem, niekiedy z wąsem.

Przerwę na wczesny lunch zrobiliśmy w handlowej dzielnicy Ikseon (opowieści o koreańskich kosmetykach nie są przesadzone) - przypadkiem musieliśmy trafić na popularne miejsce, bo wkrótce po tym, jak zasiedliśmy przy stoliku zapełniło się miejscowymi (zapewne z okolicznych biur). Restauracyjka specjalizowała się w różnych pierożkach (*mandu*): były gotowane, smażone, albo w zupach (na zimno i na gorąco). Do tego tradycyjnie kimchi i bardzo smaczna marynowana rzodkiew.

Dalszy spacer doprowadził nas do królewskiej świątyni Jongmyo - drugiej w mieście lokalizacji dziedzictwa kulturowego UNESCO. Układem przypomina pałace: kompleks stanowią oddzielne pawilony rozrzucone po dużym parku leśnym. Konfucjańska świątynia emanuje spokojem i skromnością (jest prawie pozbawiona ozdób). W każdym pawilonie znajduje się wiele (bardzo podobnych, na ile mogliśmy ocenić) "kapliczek". Każda z nich oddaje cześć duchom kolejnych pokoleń par królewskich, które (w postaci tabliczek z wypisanymi imionami) je zamieszkują. Okresowo odbywają się specjalne ceremonie polegające na organizowaniu uczty dla duchów, z dużą ilością symbolicznych pokarmów umieszczonych w rytualnych

naczyniach na stole znajdującym się przed tabliczkami. Trafiliśmy akurat na sprzątanie po takiej imprezie. (Zastanawialiśmy się, czy to jedzenie ktoś potem zjada, czy jest wyrzucane). Między pawilonami prowadzą brukowane kamieniami ścieżki, z których środkowa służy wyłącznie duchom (i nie należy nią chodzić).

Później wsiedliśmy w metro i dojechaliśmy do Muzeum Narodowego. Wstęp do głównych muzeów w Korei jest darmowy, co stanowi godną uwagi formę promocji kraju i jego historii. Muzeum mieści się nowoczesnym budynku i eksponuje swoje kolekcje na trzech piętrach. Parter jest chronologiczną (od prehistorii) prezentacją sztuki i historii Korei. Poziom drugi to koreańskie malarstwo i kaligrafia (oba bardzo w stylu chińskim) Są także kolekcje darczyńców i sponsorów, w których najciekawszym dla nas był hełm koryncki z okresu klasycznego, odnaleziony w świątyni Zeusa w Olimpii w 1875 (prawdopodobnie zresztą ofiarowany jako wotum dziękczynne za zwycięstwo olimpijskie). Hełm był nagrodą dla zwycięzcy biegu maratońskiego na berlińskich igrzyskach olimpijskich, Sohn Kee Chunga (Koreańczyka, wówczas reprezentującego Japonię), ufundowaną przez grecką gazetę. Komitet Olimpijski miał jednak wątpliwości czy wręczenie tak cennej nagrody nie stoi w jaskrawej sprzeczności z postulowanym amatorstwem sportowców, więc ostatecznie nagrody nie wręczono, zatrzymując ją w berlińskim muzeum. Zdobywca ostatecznie otrzymał ją po pół wieku (na szczęście dożył) i od razu przekazał do muzeum. Piętro trzecie to zbiory rzeźby i ceramiki (tutaj poznaliśmy słowo celadon, od którego pochodzi określenie koloru - seledynowy). Największe wrażenie robi bardzo wyrafinowana w formie figura zamyślnego Buddy z brązu. Jest tu również sztuka krajów ościennych (Azja, choć jest też sala egipska). Wychodzi z tego na przykład, że Jedwabny Szlak zaczynał się w Korei - choć chyba najciekawsze są towary wyłowione z wraku statku handlowego (*Sinan shipwreck collection*) z XIV wieku, płynącego z Chin do Japonii. W holu muzeum stoi wysoka na ponad dwa piętra dziesięciopoziomowa pagoda z marmuru (XIV wiek). Muzeum ma [bardzo dobrą stronę internetową](#), pomocną zarówno przy planowaniu wizyty, jak i później, przy porządkowaniu wrażeń.

Dzień postanowiliśmy zakończyć na targu rybnym (Noryangjin). Już w metrze zainteresował się nami pan Koreańczyk (o przewidywalnym, jak się później okazało, imieniu Kim): najpierw pochwalił mój aparat foto, a później zapytał dokąd jedziemy. Usłyszawszy, że na targ rybny, zaoferował się nas tam zaprowadzić (faktycznie okazało się, że nie jest to takie proste, bo niedawno handel przeniósł się do całkiem nowego, bardzo obszernego, kilkupiętrowego pawilonu). Pan Kim okazał się być prawdziwą grubą rybą, a przynajmniej stałym bywalcem, bo znał wszystkich sprzedawców, którzy traktowali go z szacunkiem. (Model funkcjonowania rynku jest taki, że na niższych piętrach odbywa się handel hurtowy, natomiast wyżej są stoiska detaliczne, gdzie wybiera się ryby i owoce morza, a następnie zanoszą je do sąsiadujących ze stoiskami restauracji, gdzie są przyrządzane i podawane.)

Myśleliśmy, że na tym zakończyliśmy naszą znajomość z panem Kimem - nic bardziej mylnego: nie tylko pomógł nam wybrać plater sashimi, ale zaprosił nas do restauracji (do sąsiedniego stolika - sam spotykał się z kilkoma przyjaciółmi), gdzie i tak podsuwał nam kęsy ze swojego półmiska, polewał lokalną wódką ryżową i piwem (a także mieszanką jednego z drugim) oraz za pomocą google translatora wznosił toasty na cześć przyjaźni polsko koreańskiej (okazało się, że kiedyś był w Warszawie; chyba zawodowo, ale nie do końca zrozumieliśmy jaki to zawód)¹. Popołudnie się przedłużało, płynęły się łały (Azjaci mają genetyczny deficyt dehydrogenazy aldehydowej - ale mimo to Koreańczycy lubią wypić), na szczęście udało nam się grzecznie zakończyć nasz udział w biesiadzie i wrócić do hotelu, skąd bładym świttem udaliśmy się na lotnisko.

Podsumowując - Korea podobała się nam bardzo i zdecydowanie jest krajem, do którego trzeba będzie (raczej wcześniej niż później) wrócić. Z informacji praktycznych: funkcjonalność google maps jest w Korei ograniczona (co zdaje się wynika z jakichś nieporozumień między rządem koreańskim a firmą Google co do przechowywania dokładnych map kraju na zagranicznych serwerach), ale mają swoją własną aplikację (Naver), bez której ani rusz. Warto także ściągnąć sobie Kakao Metro lub Seoul Metro - aplikacje planujące przejazdy komunikacją publiczną. Metro jeździ bardzo często i bardzo planowo - aplikacje są wyliczone niemal co do sekundy. Swoją drogą, gdybyśmy w seulskim metrze trafili na nosiciela koronawirusa, to już byśmy byli trafieni (taki był tłok). Znaczna większość ludności w maseczkach (choć przypadków zachorowań mieli dotąd niewiele). O T-Money (elektronicznej portmonetce do płacenia za przejazdy) i lokalnej karcie SIM (są nawet wersje 24 godzinne) już wspominaliśmy.

Po przylocie do Budapesztu zaopatrzyliśmy się w zapas papryki i salami, zjedliśmy obiad złożony z foie gras i innych węgierskich delicji, a następnie przeszliśmy po Vaci ut. Na jutro rano mamy bilety wstępu na zwiedzanie Parlamentu (jakoś nigdy wcześniej się nie złożyło). A po południu wracamy ostatecznie do Polski. Jak pisał Lechoń: "A wiosną niech wiosnę, nie Polskę zobaczę". Amen.

¹ Na marginesie [przypis Doroty], Korea - przynajmniej w pokoleniu 70-latków - to jednak musiało być strasznie patriarchalne społeczeństwo. Pan Kim rozmawiał głównie z Michałem, do mnie był miły, ale nie zaszczycił pytaniem o imię, przezwał Abba i nucił *Chiquitę*, bo chyba nie był przyzwyczajony do blondynek. Koledzy pana Kima podobnie; nie wydawało się, żeby w ogóle mieli obyczaj bywać w restauracjach w towarzystwie kobiet.